

Zygmunt Albrecht

Plaga egipska

Palestra 4/10(34), 64-71

1960

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZYGMUNT ALBRECHT

adwokat

Plaga egipska

Adwokatura boleśnie odczuwa „dyfamację”, zjawisko, któremu poświęcono wiele czasu na zeszłorocznym Zjeździe październikowym. W rozumieniu mówców oznacza ono: szkoderie dobrej sławie zawodu, nastawanie na jego honor.

Samo stwierdzenie faktu dyfamacji jest niewystarczające chociaż było ono konieczne do podjęcia z nią walki. Jednakże walka z samym zjawiskiem byłaby niedostateczna, gdyż trzeba przede wszystkim zwalczać jego przyczyny. Dotknąłem tych przyczyn w swoim artykule pt. „Temat stale aktualny”, opublikowanym z nrze 10 „Palestry” z 1959 r. Był on o tyle jednostronny, że przedstawiłem w nim przyczyny nie zwinione przez nas. Zwracałem przy tym uwagę na szkicowe potraktowanie problemu i wyraziłem nieśmiałą nadzieję, że doświadczeni adwokaci będą się nim zajmować w dalszym ciągu.

W przemówieniach zjazdowych postulowaliśmy potrzebę podjęcia przez NRA środków prowadzących do prawidłowego rozumienia społecznej roli naszej pracy, a nie tylko jej wartości dla jednostki, która odnosi z tego korzyści dla siebie. Ale choć od Zjazdu Adwokatury mija już rok, nie widać dotychczas ani zorganizowanej przez NRA jakiejś szerszej akcji w tym kierunku, ani też żadnych przyczynków z tej dziedziny opracowanych przez poszczególnych adwokatów. Jedy- nym wyjątkiem jest chyba artykuł adw. Romana Łyczywka „O społecznej roli i pracy adwokatury”, ogłoszony w czerwcowym numerze „Palestry” z br.

Jak już wspominałem, obrona dobrej sławy zawodu odbywać się musi nie tylko przez obiektywne przedstawienie jego społecznej wartości, lecz równolegle przez zwalczanie ujemnych objawów w pracy zawodowej jednostek. W tym zakresie niezwykle cenne były artykuły prezesa Janczewskiego na temat godności zawodu, a także stanowiący

w istocie jego osobistą zasługę — Kodeks etyki zawodowej. Jednakże prace te nie stanowią owocu dyskusji zjazdowych, gdyż były podjęte i wykonane jeszcze przed Zjazdem.

Uwagi niniejszego artykułu chcę skoncentrować na naszej retoryce sądowej, przy czym nie w znaczeniu nauki pięknego wypowiedzania myśli, lecz na tle operowania przez nas słowem jako formą i narzędziem pracy zawodowej w ogóle — ze wskazaniem zarazem najczęściej zachodzących wadliwości, które niemało przyczyniają się do dyskredytowania zawodu.

*

Żywe słowo ma moc niezwykłą. W ludzkich stosunkach potężniejszego narzędzia nie ma. Żadna fizyczna siła nie jest zdolna do takich osiągnięć jak słowo.

W ciągu wieków słowo wielokrotnie decydowało o losach jednostek, narodów i państw. Gdy nie było prasy i sztuki pisanja, tylko żywe słowo było środkiem załatwiania także wszelkich spraw publicznych. Bez słowa nie było możliwe żadne osiągnięcie, a Owidiusz głosi, że krasomówstwo zapewniało zwycięstwa również w ... miłości.

Z drugiej strony moc słowa może wyzwolić światoburcze siły, może spowodować bezmiar cierpień i hekatombę niewinnych istnień, może — powiedzmy to już bez pomocy Owidiusza — wywołać śmiertelny gniew i nienawiść.

I jeśli Kwintylian powiada, że niebo zesłało Cycerona na ziemię widocznie po to, by dać przykład, do jakich granic potrafi sięgać moc słowa, to z pewnością nie brał Kwintylian pod uwagę używania tej mocy do niegodziwych celów.

Znane jest powiedzenie Ezopa, że język jest narzędziem w którym mieści się wszystko, co jest najgorsze i zarazem najlepsze na świecie.

Greccy retorowie jawnie głosili, że krasomówstwo nie ma nic wspólnego z moralnością. Stąd w starożytności mówca był jednocześnie przedmiotem podziwu i niedowierzania, a sędziowie, ceniąc potęgę krasomówstwa, strzegli się przed jego uwodzicielskimi właściwościami i sztucznym wpływom wywieranym na ich sumienia.

Ars dicendi wyradzała się w *ars fallendi* i niebawem A.C. Celsus poświadczy to przeobrażenie wyznaniem: *non bona conscientia sed victoria litigantis est praemium*. A zatem nagroda mówcy polega nie na przeświadczeniu, że wygrał słuszną sprawę, lecz na tym, że odniósł zwycięstwo w procesie.

Arystoteles, Ciceron, Katon, Kwintylian byli wyznawcami zasady, że

mówca to zarazem rzecznik wiedzy i prawdy. Jednakże pogląd ten nie był powszechny, a retorowie wielokrotnie nadużywali mocy słowa. Każda umiejętność służyć może przeciwstawnym celom; losu tego nie uniknęła także sztuka wymowy.

*

Wykonując zawód oparty w wielkiej mierze na władaniu słowem, musimy mieć w pamięci nie tylko dramatyczną możliwość przeciwstawnych osiągnięć wymowy, lecz i to, że słuchacze, zdając sobie sprawę z tego, patrzą na nas bardzo krytycznie.

W tej chwili nie myślę o mowach sądowych słabych pod względem formalnym, gdyż właśnie — odwrotnie: tylko przemówienie formalnie dobre może kryć w sobie niebezpieczeństwo uwiedzenia słuchaczy. Trzeba zerwać z pokutującą intencją uprawiania w obronach „sztuki dla sztuki”. Mówcy, którzy i teraz sądzą, że nagrodą moralną jest osiągnięcie przez nich zamierzonego efektu w procesie, godni są potępienia, jeżeli efekt ten w ich wewnętrznym przekonaniu nie jest sprawiedliwy.

Pokusa odnoszenia zwycięstw krasomówczych — niezależnie od obiektywnej prawdy, jaką dyktuje sumienie — przetrwała wieki. Podobnie jednak niezwykłą świeżością i przekonującą siłą tchną zalecenia starożytnych retorów, aby piękną formę łączyć ze sprawiedliwą intencją. Oto co mówi Kwintylijan w swym dziele „O wykształceniu mówcy”:

„Doskonałym mówcą może być tylko ten, kto musi być dobrym człowiekiem. Dlatego też domagamy się od niego nie tylko wybitnej zdolności wysłowienia się, ale i wszelkich zalet ducha. Nie zgodziłbym się na to, żeby zasadę pocziwego i uczciwego żywota należało odkładać dla filozofów (...). Nikt przecież nie będzie miał wątpliwości, że cała mowa zmierza do tego, by sędziemu to, co mu przedstawiono, zdało się prawdą i uczciwością. Czy więc o tym przekonać może łatwiej człowiek dobry czy też zły? — Oczywiście, dobry: będzie on częściej mówił rzeczy prawdziwe i uczciwe”.

Adwokat odpowiadający przymiotom wymaganym przez Kwintylijana z pewnością nie przyczyni się do dyfamacji zawodu; przeciwnie, będzie go zawsze nawet bezwiednie rehabilitować.

Wspomniałem, że sposobność dyfamacji mogą dawać także przemówienia na wysokim poziomie formalnym. Przejdźmy obecnie do charakterystycznych cech ujemnie kwalifikujących przemówienia, które mogą wcale nie grzeszyć uchybieniami natury moralnej.

Najbardziej rażącym zjawiskiem jest przewlekłość przemówienia, wynikająca zarówno z opowiadania rzeczy niepotrzebnych jak i powtarzania tych samych myśli. Oczywiście i ta wada, tak zniechęcająca słuchaczy, nie jest nowa. Jest ona bardziej starożytna niż zasady retoryki i dlatego warto przypomnieć, jak była zwalczana w dziejach historii.

Świadczenia najdawniejsze, dostarczone głównie przez Diodora Syrcylijskiego, głoszą, że już starożytny Egipt wyniósł złe doświadczenia z przemówień obrońców. Na strony nałożono wobec tego obowiązek wymiany pism procesowych. Według relacji wspomnianego historyka mowy obrońców, zdaniem Egipcjan, zaciemniały sprawiedliwość. Obawiali się oni, żeby sztuczne wybiegi i przewlekłe krasomówstwo nie skłaniało sędziów do łagodzenia surowości prawa i nie odwracało uwagi od jego wymagań. Zachowane papirusy potwierdzają przyjętą zasadę pisemności, z faktu zaś, że Egipcjanie podnosili złe strony przemówień, wynika, iż przedtem proces opierał się na zasadzie ustności.

W starożytnej Grecji czas przemówień stron i ich pełnomocników uregulowany był mechanicznie, zwłaszcza w sprawach najważniejszych, za pomocą wodnego zegara — klepsydry. Dlatego też sprawy podzielone były na „sprawy z wodą” i „sprawy bez wody”. Zależnie od rodzaju sprawy należała się odpowiednia ilość wody. E. W. Waśkowski, od którego czerpię te wiadomości, zauważa, że konstrukcja klepsydry nie jest nam dokładnie znana, wskutek czego nie można określić przeciętnego czasu przemówień. Wiadomo tylko, że każda strona otrzymywała określoną ilość wody niezależnie od tego, ilu oratorów występowało w charakterze jej rzeczników. Spływanie wody zatrzymywano na czas badania świadków i czytania dokumentów lub prawa. Pragnąc wówczas powstrzymać wodę, orator zwracał się do posługacza stojącego przy klepsydrze i wołał: „Zatrzymaj wodę”. Po skończonym przemówieniu, aby zadokumentować, że więcej nie będzie już mówił, wołał: „Wylej wodę”.

Rzymianie także nie pozostawali obojętni na długość przemówień sądowych. Początkowo zależała ona od uznania sądu. Pod koniec republiki Pompejusz, jak pisze Tacyt, „nałożył uzdę na krasomówstwo”, dając na przemówienie oskarżycielowi najwyżej dwie godziny, a oskarżonemu trzy. Czas również mierzony był klepsydrami. W Rzymie ograniczenie czasu przemówień jednak trwało niedługo. Wraz z upadkiem republiki ustawa Pompejusza została zmieniona i czas przemówień pozostawiono — tak jak poprzednio — do uznania sądu. W każdym razie Pliniusz Młodszy, który wielokrotnie sprawował funkcje sędziego, pisze, że dawał każdemu tyle wody, ile prosił. Mawiał on przy tym,

że „choć często opowiadają rzeczy niepotrzebne, to jednak lepiej jest, żeby i to było powiedziane, aniżeli miało być nie powiedziane to, co jest niezbędne”. Poza tym „dopóki nie wysłucha się wszystkiego, nie można powiedzieć, co jest niepotrzebne, a co potrzebne”. W Digestach powołana jest ustawa zalecająca cierpliwe wysłuchanie adwokatów.

Tak czy inaczej, rozwodnione przemówienie może się skończyć takim rezultatem, jaki według Plutarcha Spartanie przedstawili posłom samijskim, którzy przemawiali bardzo długo: „Coście mówili na początku, zapomnieliśmy, a dalszego ciągu nie zrozumieliśmy, ponieważ nie pamiętaliśmy już początku”. Może to być zresztą efekt stosunkowo jeszcze szczęśliwy; gorzej jest, gdy wyprowadza z równowagi sędziego.

Jakie wobec tego powinny być przemówienia w wymiarze czasu? Poglądy autorytetów w tym względzie są zgodne. Uzależniają one długość przemówienia od rodzaju sprawy, tj. karnej czy cywilnej, a częściowo od audytorium orzekającego, tzn. od tego, czy to audytorium stanowią sędziowie zawodowi czy też obywatele (np. przysięgli, ławnicy). Profesor prawa Ł. E. Władimirow, b. adwokat w okręgu b. Sądu Apelacyjnego w Moskwie, wypowiada pogląd raczej odosobniony. Jest on zdania, że w procesach karnych, gdzie brak ścisłych dowodów, wynik w znacznym stopniu zależy od przemówień, które powinny sugerować przysięgłych i sędziów. Sztuka obrońcy powinna tu polegać na tym, żeby podporządkować sobie wolę i myśli słuchaczy. Zbyt krótkim przemówieniem nie można dopiąć tego celu. Władimirow twierdzi, że dla osiągnięcia owego celu długość przemówienia może być nawet nieco męcząca. Jednakże tylko „nieco”, gdyż w przeciwnym razie osiągnąć może zupełnie niepożądany rezultat.

Znany austriacki adwokat Edmund Benedikt w swej książce pt. „Die Advokatur unserer Zeit” (która doczekała się szeregu wydań jeszcze przed pierwszą wojną światową) zaleca współczesnemu mówcy sądowemu następujące zasady: w cywilnym procesie — krótkość i jasność; w sądzie rewizyjnym — pełny rynsztunek naukowy i logiki; w procesie karnym — rozsądek i jeśli to możliwe, humor, a rzadko patos.

Jean Appleton, adwokat i profesor prawa, w dziele pt. „Traité de la profession d'avocat” głosi, że czterema dominantami dobrego przemówienia są: jasność, uporządkowanie tematu, siła i zwięzłość (*la sobriété*). Nic tak nie męczy sędziego jak niepotrzebne dłużyzny przemawiającego. „Krótkość jest bliźniaczą siostrą jasności” — mówi Liouville, inny znakomity adwokat francuski.

Reasumpcja opinii teoretyków i praktyków prowadzi do przyjęcia

tezy, że współczesne mowy sądowe powinny być krótkie, a w każdym razie bardzo treściwe. Podobno sławny adwokat paryski Henri Robert (obronca Umińskiej w głośnym przedwojennym procesie o zabójstwo śmiertelnie chorego narzeczonego) nie mówił nigdy dłużej niż 25 minut.

Styl mówcy jest niekiedy „gwałtownym, zaciekłym szamotaniem się myśli z krnąbrnym słowem, myśli, która musi być wypowiedziana, choćby na zgliszczach składni”, nie może jednak formować się w dłużyznach, rozgadniać swej ekspresji. Ileż przy tym wszyscy tracimy czasu: i mówca, i sędziowie, i publiczność. Używając przyjętej przenośni, można by powiedzieć w nawiązaniu do ograniczeń wprowadzonych przez starożytnych Egipcjan, że gadulstwo w sądowych mowach jest istną plagą egipską. O ileż szybciej obracałoby się koło wymiaru sprawiedliwości, gdyby nie było odciążone tą plagą!

Chcę jeszcze dotknąć tych rażących uchybień, często przy tym spotykanych, które i psują efekt przemówienia, i dewaluują zawód obrońcy w opinii orientujących się słuchaczy. A pod tym względem uwagi pochodzące od starożytnych klasyków, podtrzymywane przez ich następców aż po ostatnie czasy, nie straciły nic ze swej aktualności.

Kwintylian np. potępia „górnice dmących, głośnych gadaczy”. Porównania, których używa, wskazują, iż podpatrzył on kompleksy psychologiczne, odkryte o wiele wieków później. „Im kto mniej jest wart umysłowo — mówi Kwintylian — tym bardziej stara się pięć, tak jak ludzie małej postaci wspinają się na palce, a najbardziej odgrają się słabi. Są oni dotknięci niemocą, podobnie jak ciała puchną nie dzięki sile fizycznej, lecz wskutek choroby, i jak ludzie, którzy zgubili prostą drogę, kołują manowcami”. I dalej mówi: „Nie jakiegoś tam bowiem dla form kształcimy najmitę, nie płatny głos, nie pośrednika, którego — krótko mówiąc — pospolicie pyskaczem sądowym nazywają, ale męża zarówno jakością wartości duchowej wybitnego, jako też ogarniającego głębią ducha tyle przepięknych umiejętności, oddanego wreszcie sprawom ludzkim (...)”.

Ciekawie argumentuje zastrzeżenia wobec krzykaczy Benedikt. Powiada on, że przypominają mu wędrowców nie władających obcymi językami i starających się mówić jak najgłośniej, aby byli zrozumiani. Odnosi się wówczas wrażenie, jak gdyby człowiek chciał wypełnić słabość swej argumentacji siłą strun głosowych.

Kwintylian zwraca także uwagę na rażące i pozbawione powagi środki ekspresji pewnego typu mówców. „Za pomocą sposobu przemawiania — powiada — szukają rozgłosu mocnych mówców, bo i krzyczą,

gdzie się da, i wszystko z podniesioną ręką rykiem wyrażają, ustawicznie tu i tam przebiegając, chwytając powietrze, z miotaniem się w ruchach i rzucaniem głową, jak opętani (...) to znów klaszcze taki w dłonie, tupie nogą, bije się w biodra, piersi, czoło, na dziw ludkowi małe przedstawienie urzęda (...)"

Dla końcowych wrażeń przemówienia bardzo niebezpieczny jest patos, zwłaszcza patos fałszywy. Może on szybko zdyskredytować najlepsze przemówienie. Benedikt przytacza przykład, kiedy znakomity adwokat, w zakończeniu świetnego przemówienia, zawołał w uniesieniu wobec ławy przysięgłych: „Kto tutaj jest człowiekiem uczciwym, ten powinien głosować za uniewinnieniem!” Zniweczyło to całą wartość doskonałej dotychczas mowy.

A oto inny przykład podany przez Benedikta: Adwokat Allou, występując w imieniu współwłaścicieli „Comédie Française” przeciwko Sarze Bernhard o 200 000 franków odszkodowania za straty spowodowane zerwaniem przez nią kontraktu, przedstawił w końcu swego przemówienia obraz czarującej młodej artystki, która według niego wkrótce zajaśnieje i zatrze w pamięci wszystkich wiarołąmną Sarę. Na to przeciwnik Barboux zapytał ze spokojem, dlaczego to jego kolega domaga się od pozwanej 200 000 franków, skoro ma pod ręką tak wspaniałą zastępczynię. To oświadczenie, pisze Benedikt, spowodowało, że z całej mowy Allou pozostało wrażenie pękniętego z szumem balonu, przekłutego nagle szpilką.

Dalszą wadą przemówienia, nierzadką przy tym i zajmującą wysokie miejsce w hierachii grzechów mówcy, jest chaotyczność. Appleton nazywa przemówienie, w którym pomieszane są fakty, daty, dokumenty, akty prawne, autorzy i świadkowie, „wystawą uniwersalną bez katalogu i bez etykiet”.

*

Przedstawione wady przemówień dalekie są od ich pełnej kolekcji. Przypomniałem tylko niektóre najczęstsze i zgodnie wytykane w literaturze. W pracach autorów, których cytowałem, znajdują one pełne rozwinięcie. Pomiąłem natomiast takie zjawiska (nie podnoszące nas bynajmniej w opinii, a jednocześnie nierzadko), jak przeinaczanie zebranych dowodów, nielogiczne wyciąganie wniosków z zebranego materiału, fałszywa interpretacja zeznań świadków, stron itp. Wypadki te zachodzą najczęściej nieświadomie, jednakże słuchacz i obserwator, kształtujący swą opinię o zawodzie adwokackim, bywa bezlitosny. Wszystko to nakazuje ostrożność i jasne poczucie odpowiedzialności za słowa.

Nie było moim zamiarem dawanie recepty na przemówienie nie budzące w słuchaczu uczucia nudy i jałowości, a nade wszystko podejrzania matactwa. Być może, nadarzy mi się sposobność przedstawienia także konstruktywnych uwag. Podobnie jak i w tym artykule, byłoby to raczej zsumowaniem jedynie tego, co orzekły już w tej dziedzinie niezaprzeczone autorytety. Ktoś może powiedzieć w tym miejscu, że skoro tematyka ta jest już należycie opracowana, to niepotrzebnie się na to samo w gorszym niewątpliwie wydaniu. Nie sądzę jednak, aby zastrzeżenie takie było słuszne. Literatura przedmiotu jest przeważnie obcojęzyczna i stosunkowo trudno dostępna, a do programu naszej obowiązkowej lektury nie wchodzi.

Kończąc swe wywody, nie mogę się oprzeć pokusie, by nie przytoczyć za Benediktem jednego ze znakomitych określeń sztuki oratorskiej, jaki pozostawił nam król mówców po wsze czasy — Cynceron: mówić trzeba tak, *ut prudentibus diserte, stultis etiam rere videaris dicere* (aby jasne to było dla mądrych, a głupim żeby wydawało się prawdziwe).

Zróżdła

- E. W. Waśkowski: Organizacja adwokatury, S. Petersburg 1893.
A. Goworow: Oratorskoje iskustwo w dńiewnieje i nowoje wriemia, Kazań 1897.
Edmund Benedikt: Adwokatura naszego wriemieni (Die Adwokatut unserer Zeit), S. Petersburg 1910.
Jean Appleton: Traité de la profession d'avocat, Paris, Dalloz 1923.
M. F. Kwintyliian: O wykształceniu mówcy, przekład Mieczysława Olszowskiego, „Książnica Atlas”, 1928.
Jan Parandowski: Alchemia słowa, „Gebethner i Wolff” Warszawa.
Hellada i Roma, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1958.